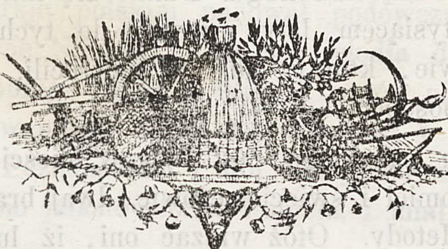
Tom IX. Nr. 13.

1. Listopada 1863.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.

Kosztuje rocznie przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

L. 14.790.

Z c. k. sądu krajowego w sprawach karnych we Lwowie, do redakcyi czasopisma „Dzwonek" na ręce pana Bernarda Kalickiego.

C. k. sąd krajowy w sprawach karnych we Lwowie, zważywszy że redakcya czasopisma „Dzwonek" w numerze 11 zamieściła poezyę pod napisem „Krakowiaki," poszlakowaną z treści swojej o usiłowaną zbrodnię zamięszania publicznej spokojności w myśl §§. 7., 66. u. k., postanowił śledztwo z tego powodu wytoczyć i oraz zatwierdził uskutecznioną przez c. k. dyrekcyę policyi konfiskatę tego numeru.

Pohlberg.

Od c. k. sądu krajowego w sprawach karnych.

Lwów dnia 16. października 1863.

Dobrowolski.

Tysiącletnia rocznica

na pamiątkę

zaprowadzenia chrześcijaństwa w krajach słowiańskich.

W teraźniejszym roku obchodzą ludzie we wszystkich krajach słowiańskich rocznicę, na pamiątkę iż temu już tysiąc lat, jak zaprowadzono w nich chrześcijaństwo i nauczono ludzi prawdziwej wiary świętej. Do tych ludów słowiańskich należą Polacy, Rusini, Czesi, Morawianie, Serbowie i Bułgarowie. Owóż

wszyscy oni byli pierwej poganami, to jest iż nie znali wiary świętej, ale robili sobie bożków z drzewa i gliny i tym się kłaniali jak prawdziwemu Bogu. Działo się tak długi czas, aż dopiero przed tysiącem laty przyszli do tych krajów dwaj święci apostołowie, którzy ludy te nawrócili. Zaś wszystko stało się tym sposobem.

Około roku pańskiego 862 byli w mieście Konstantynopolu dwaj znakomici i święci mężowie, dwaj bracia, którzy się zwali Cyryl i Metody. Otóż widząc oni, iż ludy słowiańskie nie znają jeszcze wiary świętej, wybrali się do nich aby je nauczać i chrzcić. Tak zaszli najpierw do Morawii, którýto kraj jest na zachód od Krakowa, a naówczas był bardzo znaczny i potężny: więc opowiadali tam wiarę świętą, i ochrzcili xięcia tamtejszego i wiele bardzo inszych ludzi. A iż Słowianie nie umieli po łacinie, w jakimto języku odprawia się msza święta i spisane było pismo święte, więc ci apostołowie wynaleźli nowe pismo i spisali dla Słowian nauki święte po słowiańsku. Zaś w owym czasie wszyscy Słowianie jedną mieli mowę, więc Polacy i Rusini i Czesi i Morawianie jednakowo gadali i dobrze się rozumieli, a tak dla nich wszystkich razem apostołowie święci przetłómaczyli i napisali nauki święte.

Jak się o tem wszystkiem dowiedział papież, więc powołał obu apostołów do siebie do Rzymu i tam ich wyświęcił na biskupów. Tymczasem święty Cyryli rozchorzał i umarł niebawem w Rzymie, a już sam Metody powrócił do Słowian i dalej nauczał ich wiary świętej przez wiele lat, aż powróciwszy znowu do Rzymu, umarł tam także.

Otóż moi mili macie historyę obu pierwszych apostołów słowiańskich, którzy są świętymi. Onito najpierw nauczyli ojców naszych wiary świętej, oni ich uwolnili od pogaństwa, które jest grzechem, oni najpierwsi przynieśli ludom słowiańskim zbawienie duszy za pomocą prawdziwej wiary.

A iż ludów i krajów słowiańskich było bardzo wiele, zaś apostołów tylko dwóch, więc nie mogli oni wszędzie sami być i wszystkich nauczyć. Owóż chodzili ciągle z miejsca na miejsce i nauczali i nawracali ludzi, a gdzie dojść nie mogli, tam po-

syłali uczniów swych. Tym sposobem nauczano po wszystkich krajach słowiańskish wiary świętej, a także w kraju polskim.

Zaś w kraju polskim panował podówczas xiążę Popiel, który miał żonę Niemkę, a ta go wiodła do różnych złych spraw a do dobrego nigdy. Więc i naród nie był szczęśliwy pod jego panowaniem. Xiążę ten mieszkał w Kruszwicy, a to jest miasto w Poznańskiem i stoi nad jeziorem Gopłem. A naówczas było ono miasto stolicą Popiela, i miał on tamże zamek swój xiążęcy.

Otóż zdarzyło się pewnego razu, iż przyszli do zamku dwaj mężowie, i prosili o przyjęcie. Zaś Popiel z namowy żony swej kazał ich nagnać precz i nie przyjął w gościnę. Zasmuceni mężowie odchodzili od zamku, kiedy na drodze spotkał ich pewien zacny wieśniak i prosił do chaty swej w gościnę.

Wieśniak ten zwał się Piast i był bartnik, drudzy piszą iż kołodziej, człowiek dobry, prosty i sprawiedliwy, który miał żonę Rzepichę. Właśnie podówczas urodził im się syn, którego chcieli obyczajem pogańskim postrzydz. Na te postrzyżyny zaprosił Piast mężów nieznajomych, którzy mu dziecię ono postrzygli na imię Ziemowit, i powiedzieli ojcu, iż syn jego będzie najznaczniejszym człowiekiem, bo zostanie xięciem polskim.

Potem poszli dalej dwaj mężowie, a między ludźmi wszczęła się rozgadka, co oni za jedni. Zaś iż ich nikt nie znał, nie mogli ludzie nic wygadać. Dopiero jak się stało co oni prorokowali, jak Ziemowit syn kmiecy został xięciem, zaczęli ludzie domyślać się, iż to byli aniołowie, albo może apostołowie święci Cyryl i Metody.

Otóż i temu będzie teraz lat tysiąc, więc jest dla nas druga znaczna rocznica. Od Ziemowita syna Piastowego pochodzili nasi królowie polscy Piastowie, między którymi był Mieczysław pierwszy, który wiarę chrześcijańską zaprowadził w całej Polsce, i Bolesław Chrobry, który tyle dobrego uczynił dla Polski, i Kazimierz Wielki król chłopków, który lud wiejski tak bardzo miłował i taki dobry był dla niego, jak żaden król na świecie.

Na te obydwie pamiątki, to jest na zaprowadzenie wiary chrześcijańskiej między Słowianami i na pamiątkę Piasta kmie-

*

cia, od którego pochodzili zacni królowie Polscy, odprawia się przez rok cały wielkie nabożeństwo w całym kraju. Zaś w Poznańskiem, gdzie mieszkał Piast i gdzie najpierw byli Polacy, ogłosił xiądz arcybiskup za pozwoleniem ojca świętego jubileusz także na te same pamiątki, i cały naród tamtejszy odprawia go pobożnie.

U nas nie było jubileuszu, ale wszędzie nabożeństwa odprawiały się, i wszędzie ludzie z dobrej ochoty na nie się składali. Bo i jużcić święto to nie małe, i nie będzie takiego aż znowu za tysiąc lat, a takich dalekich czasów to nietylko prawnuki nasze ale i praprawnuki nie dożyją. Toćto rzecz nie mała tysiąc lat!

Otóż moi mili warto pamiątkę tę uświęcić jak kto może, a już najbardziej warto dobrze zmiarkować sobie, co ona znaczy. Otóż powtarzam wam moiściewy jeszcze raz, abyście sobie dobrze spamiętali, iż pamiątka ta jest najpierw wedle tego, iż teraz właśnie tysiąc lat mija, kiedy święci apostołowie Cyryl i Metody zaprowadzili między Słowianami chrześcijaństwo, a potem iż także temu tysiąc lat, kiedy w Polsce żył zacny kmieć Piast, ojciec królów polskich, którze narodowi naszemu panowali szczęśliwie i dobrze przez długie czasy.

PIAST.

Miasto Gniezno, Polski najpierwsza stolica,
Ztamtąd niedaleko stał zamek Kruszwica,
A pod zamkiem Gopło, jezioro przejrzyste
Jakby wiankiem kryły zarośla krzewiste,
I odwieczne dęby, ręką Bożą 'siane,
W górze gałęziami z sobą powiązane.

W tem to ojców gnieździe, w okolicy miasta
Słynęła poczciwość kołodzieja Piasta,
Co karczował lasy, zagony orywał,
Co raczył ubogie i nagie okrywał,
Co żył w swojej chacie zabiegliwy, czynny,
Sprawiedliwy, rządny, zawsze dobroczynny.

Mówią dawne dzieje, jak było przed laty,
Że ule z pszczołami stały koło chaty,
A pszczółek gromada na lipie się roi,
Co chatę w gałęzie zielone ustroi;
Na wysokiej strzesze bocian z gniazdem siedzi
I dziobem klekocze nad głową gawiedzi.

Zaś koło domostwa zatrudnienia duże,
Piast kołodziej sprychy, dzwona do kół struże,
A na przyźbie przędzie i zgodna i cicha
Wierna żona jego, cnotliwa Rzepicha;
Siedmioletni synek po izbie wyskoczy,
Miluchne pachole, lecz ciemne na oczy.

Słonko z poza chmury w okienko się wciska,
I w podwórku czujne zaskowyczą psiska;
Gospodarz wybiega, dwóch młodzieńców wita,
— A toście strudzeni, jak widzę — zapyta,
— Gość szczęście przynosi, więc z dalekiej drogi
Raczcie wejść panowie w chaty mojej progi.

Przyjęli młodzieńcy Piasta zaproszenie,
A on gości sadza, szczęśliw nieskończenie;
I skrętna Rzepicha radość męża dzieli,
Porzuca wrzeciono, wstaje od kądzieli,
Niesie miodu, chleba, na co chatę stanie,
Więc i ryby z misą, świeże mleko w dzbanie.

Gdy już goście syci od stołu powstają,
Jasność wielka w izbie, oni skrzydła mają,
Szaty jak ze śniegu, wieńce na ich skroniach,
Przepaski niebieskie a lilije w dłoniach;
Piast z Rzepichą klękli, prawie oniemieli,
I poznali zaraz, że to są anieli.

— Piaście — rzekną mile — twojej my dzieciny
Chcemy sprawić dzisiaj sute postrzyżyny,
Syn Ziemowit ciemny światło dnia zobaczy,
Twemu pokoleniu korona się znaczy,
Będziesz wyniesiony i w możnej krainie
Twa gościnność, cnota, na wieki zasłynie.

Zniknęli anieli z pod strzechy słomianej,
Zaś wkrótce Ziemowit na xięcia obrany;
Przybyli posłowie z stołecznego miasta,
Aby na królestwo zabrać syna Piasta;
Ten pomny rodzica zachował do zgonu
Koło, pług i lemiesz obok swego tronu.

Według przepowiedni od aniołów danej,
Przejrzał był Ziemowit z swej ślepoty znany,
A prawnuk Mieczysław przyjął światło wiary,
I zniszczył pogańskie bożki i ofiary;
I odtąd już długo ród Piasta panował,
A polski lud z wielkiej miłości go chował.

A. K. z M.

Stach wędrowiec.

Gość w dom, Bóg w dom.

Siedzi sobie Bartosz na przyzbie swojej chałupiny i duma wsparty na obie ręce, a od czasu do czasu podniesie ku niebu łzawe oko i ciężko westchnie do Boga; ciemny już zapadł zmrok w koło, niebo przystroiło się srebrnemi gwiazdeczkami, nawet i xiężyc wychylił pół rogu z zachmury, a Bartosz jak siadł tak siedzi i wciąż duma i duma i wciąż wzdycha do Boga.

— Hej, Bartoszu dobry gospodarzu! co to ci tak cięży jak kamień młyński na sercu? zdał się pytać oczyma wierny pies Kruczek, który przybiegłszy z razu łasił się i zwijał ogonem, później zaś spostrzegłszy smutek swego pana, zwiesił głowę i legł mu u nóg.

— Biedny piesku! — odezwał się Bartosz smutnym głosem — biedne zwierzę zmiarkowałeś mój smutek i nieszczęście moje i wraz ze mną zasmuciłeś się biedaku!

Na te słowa zerwał się Kruczek na równe nogi i począł lizać ręce swojemu panu; Bartosz zaś zamilkł, bo z wielkiego żalu nie mógł dalej mówić.

— Stary! stary! zakrzyczała raptem z chaty Bartoszowa żona Jagna — a pójdźno tu, chcę z tobą pogadać trochę, bo ja wyjść nie mogę, gdyż muszę gotować wieczerzę.

Bartosz atoli mając głowę pełną różnych ciężkich i trapiących go myśli, nawet nie słyszał wołania swojej żony, więc też ani się ruszył, ani też jej co odpowiedział; Jagna zaś lubiąc dużo zwijać językiem, nie lubiła bardzo, jeżli jej kto dłużny został z odpowiedzią, owóż więc i teraz wybiegła z trzaskiem i fukiem z chaty i wrzasnęła Bartoszowi nad samem uchem:

— Czyś ogłuchł?!

Ofuknięcie takie nie było żadną dla niego nowiną, bo też nie pierwszy to raz napadła go w ten sposób.

Jagna była sobie gospodyni jakich mało znaleść w świecie; czego się tylko tknęła, to jak ogniem paliła, a od świtu do późnego wieczora ciągle się krzątała i ani chwili nie siadła z założonemi rękami; starała się ona o wszystko, to też na niczem w chacie nie zbywało — miała bowiem dużo drobiu, nabiału i ogrodowiny, a nie tylko tyle co sama dla siebie potrzebowała, ale nawet znalazło się jeszcze dosyć i na sprzedaż, za co nie raz piękny grosz oddawała mężowi; przytem nadewszystko lubiła ona czystość, którą pożal się Boże nie każda nasza gosposia pochwalić się może; dlategoż mąż i chłopak, któremu na czternasty rok poszło, byli zawsze w czystej bieliźnie, nie mówię już o niedzieli lub o dniu świątecznym, bo wtedy to aże miło spojrzyć na Bartoszów, kiej wejdą do kościoła. Dlatego też słynęła Jagna na całe sioło, a nawet w okolicy z dobrego gospodarstwa. Szkoda, wielka szkoda, że przy tej gospodarności, zapobiegliwości i tylu innych pięknych zaletach miała ona jedną bardzo brzydką wadę, która nie w czem innem była, jeno w języku: lubiła ona bowiem gderać i była kłótliwą. Znał ci też ją Bartosz dobrze z tej strony, dlatego unikał wszystkiego, co by najmniejszy dało jej powód do kłótni, ale nic to wcale nie pomagało, bo kiedy dwa dni przeszły spokojnie, na trzeci dzień nie mogło się już obejść w żaden sposób bez kłótni lub przynajmniej krzyku. Bartosz spokojny człowiek wielce gryzł się tem złem swojej żony ale nie mógł temu w żaden sposób zaradzić, gdy i to złe było tak silnie w niej zakorzenione, że nie wiem, czy znalazłby się jaki człowiek na świecie, któryby ją potrafił przerobić.

Otóż taka to była Jagna.

— Czyś ogłuchł?! — krzyknęła ona powtórnie jeszcze głośniej, gdy Bartosz napadnięty z nienacka, przytem zgryziony do żywego nie wiedział, co jej ma odpowiedzieć.

— Czyś skamieniał?!... mówiła ona dalej — że żonie nie chcesz dać odpowiedzi; to mi to wdzięczność za moją pracę, za moje trudy i starania?! teraz dopiero otworzyły mi się oczy dobrze, dobrze że wiem co ty za ptak! ha, niewdzięczny człowiecze.

— Ależ kobieto na miłość Boga! — zawołał Bartosz — miejże litość nademną, czy nie wiesz jakie wielkie nieszczęście spotkało nas, czy nie wiesz, że już może jutro spędzim noc na polu pod gołem niebem lub gdzie pod cudzym dachem.

— Bo to wszystko przez ciebie, gdybyś jak człowiek obchodził się z żoną, tak jak Bóg przykazał, toby nam się inaczej działo, bo Pan Bóg nie zesłałby takiego nieszczęścia na głowę naszą, ale kiedyś ty niedołęga, toć nie dziw, że tak się dzieje nic dobrego.

— A dajżeż ty mi spokój ty niedobra żono — mówił Bartosz jeszcze bardziej zgryziony — ty mnie prześladujesz nawet w nieszczęściu; czy chcesz się może napić krwi mojej?

— Twojej krwi?!!... zaśmiała się Jagna ze złości.

— Bo już sam nie wiem czego chcesz odemnie?

— Czego ja chcę toby i na wołowej nie spisał skórze: najpierw przez twój upor straciliśmy dotychczas Bogu dzięki sto reńskich, a sto reńskich to nie grajcar, kupił byś za nie parę dobrych wołów; ale gdzie tam, ty jak się uprzesz to ani rusz z tobą; Fryc dawał nam zrazu siedmset reńskich, potem jeszcze o tyle mniej i tak czem raz na dół schodzić będzie, aż w końcu nic nieda lub tyle co nic, a wtedy co zrobimy, czy może pójdziem w świat z torbami? ha, co? niechby i tak było, gdybyśmy byli sami, ależ przecie jest Jonek, moje dziecię jedyne. Zważno, że nikt inny nie kupi. Fryc ma grunta z obu stron naszego obejścia, to jemu co innego, ale pewnie nikt inny nie zechce kłaść palce między drzwi, żeby nabywszy za gotowe pieniądze ten kawalek, prowadził potem wojny z djabłami. Nie bądź uparty, nie namyślaj się zbyt długo, bo twój krótki rozum nic mądrzejszego nie wymyśli

— Kobieto! kobieto — rzecze Bartosz obcierając łzy rękawem — pięknie mówisz i prawdę, ale zważno czy to tak łatwo, tak miło jest zrzec się tego kawałka gruntu i tej strzechy, którą mi nieboszczyk ojciec jako świętość przekazał; z tej to racyi długo a długo nie chciałem ją oddać z rąk moich, myślałem że Bóg litościwy zmiłuje się nad nami, ale na próżno, widzę, że grzechy moje są wielkie kiedy muszę to tracić, co mi jest droższem aniżeli życie. Pójdziem więc z naszem dziecięciem w świat daleki, bo już jutro dobiję z Frycem targu.

To rzekłszy zakrył twarz rękami i począł gorzko płakać nad swoją niedolą; Jagna widząc ten żal męża rozpłakała się także, gdyż dobre z gruntu miała ona serce — i czem raz bardziej, ba w końcu na głos, zaczęła zawodzić i wśród płaczu przepraszać męża.

— Porzucać rodzinną strzechę! mówiła ona, niezrozumiale wśród gorzkiego płaczu — toć mi tutaj przez tyle lat było tak dobrze, jakby u Boga w raju, toć tutaj rodziło się nasze dziecko!

— Nie płacz, nie płacz — rzekł Bartosz po chwili, taka jest Boża wola, a z nią trzeba się zgadzać.

— Biedne moje gospodarstwo! moje pieszczoszki kureczki, moje bieluchne gąski porzucę was, zdam was na obcą opiekę, bo zabrać was z sobą trudno, oj trudno, zwłaszcza, że nie wiemy sami gdzie nasze głowy przyjdzie nam wkrótce złożyć. Oj biedni my, biedni! lecz my starzy, ale najbiedniejsze nasze kochane dziecię, nasz Jonek!

I bez końca zawodziła Jagna, Bartosz zaś wsparł się na rękę i ku niebu podniósł oczy do Boga błagając Najwyższego o łaskę; wpatrzył się biedak w niebieskie sklepienie, na którem tak cudnie migały srebrzyste gwiazdeczki, a im bardziej się wpatrywał, tem więcej podziwiał siłę Bożą, która to wszystko stworzyła, tem więcej nabierało serce jego otuchy, bo ciągle jakby coś w sercu jemu szeptało: Miej nadzieję; ten Bóg potężny i łaskawy nie opuści ciebie! I Bóg nie wie jak długo byłby Bartosz tak dumał, gdyby Kruczek, który mu u nóg przez cały czas leżał spokojnie, nie był się zerwał i nie zaczął szczekać.

— To musi być ktoś obcy — odezwał się Bartosz — czujny pies zwietrzył go wprzódy, zanim posłyszeliśmy chód jego.

— Może Jonek wraca z Lublińca — rzekła Jagna.

— Oj to nie Jonek, Kruczek poznałby go z daleka; ale otóż i słychać już, zdaje mi się, że to dwoch idzie. Jakoż w rzeczy samej dwoch weszło na podwórze: jeden był Jonek a drugi jakiś obcy człowiek.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł przychodzeń na powitanie.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli Bartoszowie i ciekawie wpatrzyli się w obcego człowieka.

— Ojcze — rzekł Jonek przystępując do Bartosza — przyprowadziłem wam gościa do chaty.

— Gość w dom, Bóg w dom — rzekł Bartosz.

— Ależ posłuchajcie — mówił Jonek dalej — jakim dziwnym sposobem my się zeszli; kiedy już miałem się spuszczać do naszego sioła, patrzę a tu jakiś podróżny idzie do góry; niewiedząc co to za człowiek, nie śmiałem go zaczepiać na drodze i wypytywać, chociaż bardzo byłem ciekawy, ale tymczasem on mnie sam zaczepił, bo pragnął wypytać się o drogę do Rudy, ja też zmiarkowałem sobie w głowie, że do Rudy jeszcze spory kawał drogi, do tego piasczysta droga, więc też rzeknę: „Spory kawał macie jeszcze przed sobą, do tego same piaski, teraz noc, wyście jak widać zmęczeni, więc ja wam dam inną radę.“ „Jaką“ — zapytał mnie podróżny; — ja też poradziłem, żeby wrócili nazad do naszego sioła i przenocowali u nas, a nazajutrz jak Bóg da doczekać będzie im lepiej i weselej iść sobie do Rudy, aniżeli teraz po nocy.

— Dobrześ zrobił mój chłopcze — rzekł Bartosz.

— Dobrzy ludzie — odezwał się podróżny — darujcie mi proszę was, że was w nocy nachodzę, nie był bym się na to odważył, gdyby nie wasz chłopiec, ale jeżeli się tak stało, więc będę was prosił o przenocowanie.

— Z całego serca — odrzekł Bartosz — czem chata bogata tem rada wam będzie; niepotrzebnie się też wymawiacie, bo w tem niema nic złego, owszem obowiązkiem jest katolika przyjąć podróżnego do siebie, a szczególniej u nas w Polsce

to jeszcze po dziadach odziedziczona cnota. dziś wy u mnie, jutro ja u was, a ani ja was, ani też i wy mnie nie wygonicie z chaty.

— Toć to prawda — rzekł podróżny — nasi przodkowie słynęli gościnnością, dałby Bóg żebyśmy wszystkie cnoty po nich odziedziczyli, to wtedy inaczej by było na naszej biednej ziemi.

— Ależ siadajcie — rzekł Bartosz — nogi was muszą boleć z podróży, ty Jagno zaś idź do chaty i daj nam wieczerzę.

Poszła więc Jagna do chaty i zaczęła się krzątać koło wieczerzy, a Bartosz, Jonek i podróżny zostali na dworcu. Ów podróżny był to młody człowiek, śniadej twarzy, na której się co tylko zasiał czarny wąsik, barczysty w plecach, jednem słowem tęgi chłopak co się zowie; suknie na nim nie były wytworne: miał on na sobie szaraczkową sukmanę, spodnie w buty, na plecach zaś mantelzak skórzany; po twarzy i po wszystkiem poznać było, że to nie jest prosty człowiek, a po mowie znać odrazu, że lubo jest jeszcze młody człowiek, ma w głowie dużo rozumu. Zmiarkował to i Bartosz, więc też już inaczej odezwał się do niego, niż poprzód.

— Pan pewno z dalekich stron? — mowił on do podróżnego.

— Bracie — odezwał się podróżny — co mi z tego państwa, wierzcie mi, że mi tak milej, jakieście mnie wprzódy nazywali; wszak my rodni bracia, jedna ziemia jest nam matką.

— To prawda, żeśmy rodni bracia, żeśmy się wszyscy na jednej polskiej rodzili ziemi, ale zawsze już to od Boga dane, że jeden drugiemu nie jest równy.

— Niech tam sobie i tak będzie, ale ja was proszę, żebyście mnie, mój dobry gospodarzu, nazywali jak pierwej, bo taki dalibóg lepiej przypada takie nazwanie do serca.

Ledwo co skończył podróżny te słowa, weszła Jagna z chaty i oznajmiła, że wieczerza już na stole, poszli więc za nią; podróżny przyszedłszy do chaty rzucił z plecy swój mantelzak i złożył go wraz z grubym sękatym kosturem, który miał z sobą do drogi, w kącie izby. Na stole stała misa z pie-

rogami hreczanemi, obsiedli więc stół w czworo a Bartosz się odezwał do podróżnego:

— Prosimy do wieczerzy, wybaczcie że chuda, ale to co jest bierzcie i jedźcie.

— Daj Boże zawsze mieć taką chudziznę — rzekł podróżny — i wziął się do pierogów.

Pulchniutkie pierożki nie długo postały, bo każdy jadł dobrze, nawet i Bartosz mimo umartwienia, a kiedy już się wieczerza skończyła, odezwała się Jagna do Jonka:

— Z naszym gościem tak nam czas biegnie, żeśmy nawet zapomnieli o naszej biedzie, a nawet nie spytaliśmy Jonka co wskórał w Lublińcu.

— Franciszek — rzekł Jonek — mówił, że nas przyjmie do siebie na tydzień, ale tylko na tydzień bo dłużej nie może, gdyż córka jego Zośka ma wkrótce wyjść za mąż.

— To są wymówki — mówiła Jagna dalej — to są wymówki, mocny Boże, już rok coś słychać o tem weselu, a kuma Michałowa klęła duszę na czem świat stoi, że już z tego nic nie ma, że to się całkiem rozeszło.

— Ja nie wiem — mówił Jonek

— Być może — mówił Bartosz — że to są wymówki, być może znowu, że to prawda, ale zawsze wolno Franciszkowi zrobić co mu się podoba. Ja myślałem, że on nam to uczyni, tak jak ja bym uczynił innemu nieszczęśliwemu człowiekowi, ale jeżeli im to trudno przychodzi, pójdziemy się gdzie indziej tułać, wszak świat szeroki! — to rzekłszy dwie łzy stanęły mu w oczach.

— Cóż to mój gospodarzu — rzekł podróżny, który o niczem nie wiedział — mówicie o tułaczce? niechże was Bóg dobry od niej zachowa, bo ciężko i gorzko tułać się po świecie: być na ziemi ojców, a nie mieć kawałka ziemi; ale zresztą nie wiem dlaczego wy o tem mówić macie, z łaski Bożej macie wszystkiego podostatkiem, w chacie jak Bóg przykazał, pewno i gumno nie próżne.

— Lecz cóż z tego — odrzekł Bartosz.

— Prawda — mówił podróżny dalej — że zaraz, jakiem tylko do chaty waszej wszedł, spostrzegłem jakowąś boleść i smutek na waszej twarzy.

— Alboż nie ma czego się smucić i boleć, ot żona, ot chłopak, a tu się trzeba rozstać z ojcowizną, porzucić ją na wieki, oddać obcemu!

— Dla Boga! — rzekł podróżny, któremu okrótny żal ścisnął serce, bo szczerze pokochał on Bartosza — cóż że was zmusza do tego?

— Prześpijcie jeno noc jedną w tej chacie, a nie będziecie pytać, co mnie zmusza; zły duch wygania nas ztąd – teraz pewno już zrozumiecie.

— Nie, jeszcze nie rozumiem — odrzekł podróżny — jestem ja katolikiem i wierzę w Boga Ojca i Syna i w Trójcę Przenajświętszą, ale nie wierzę ja, żeby djabli byli na tej ziemi i mogli wyganiać poczciwego człowieka z chaty, którą mu Bóg po ojcach i dziadach darował.

— Mówicie tak akuratnie, jakbym ja nie był katolikiem, ale trudno nie wierzyć własnym uszom i oczom.

— Ba, czasem oko źle dojrzy, a ucho źle zasłyszeć może, a nie potrzeba nawet djabłów, jeśli się znajdzie zły człowiek. Ależ proszę was opowiedzcie mi tę ciekawą historyę.

— Nie przeminie noc jedna — mówił Bartosz — żeby on tutaj nie był, a jak przyjdzie, to niech Bóg uchowa jakie on tańce djabelskie wyprawia po strychu, jak piszczy, pieje, ryczy, trzaska, a z paszczy sieje ogniem, że aż włosy wstają na głowie, kiedy sobie człek na to wspomni; widziałem ja go, dwa razy na własne oczy: czarny jak węgiel, nibyto podobny do byka, ale na dwóch nogach, z rogami na głowie a w pysku zamiast śliny ogień. Już tydzień minął, jak on nas nachodzi, a od kilku dni nie nocujemy w chacie, jeno w stodole, a dziś i wy z nami musicie tam nocować.

— Powiedźcież mi moiściewy — pytał podróżny — czy dobrych macie sąsiadów?

— Nie złych; Gerwas Knot chyba Bogu ducha winien, bardzo spokojny i uczciwy człowiek, Fryc także nie zły człowiek.

— Fryc? — zapytał podróżny powtórnie, gdyż imię to nieswojskie uderzyło go trocha.

— A tak Fryc — mówił Bartosz dalej — to niemiec, kolonista, mój sąsiad z obu stron, po prawej ma swoje obejście, a po lewej pole, ktore niedawno nabył od Wojciecha; majętny to człowiek, pierwszy bogacz w naszem siole, ale choć niemiec, toć nie zły człowiek.

— Oj nie zły! — rzekła Jagna mieszając się do rozmowy — u ciebie nie zły i ten co ci kołki ciesze na głowie, co cię gotów obedrzeć do koszuli; nie wierzcie, to łotr, szachraj, złodziej, przez niego straciliśmy już sto reńskich, a gdyby mógł, toby nas bez grajcara puścił w świat i zabrał za darmo naszą ojcowiznę.

Posłuchajcie ano, jak on nas obcyganił: najprzód dawał o 100 reńskich więcej, potem zniżył jeszcze o 50 reńskich mniej a teraz Bóg wie, czyli i to da; innego kupca nie mamy, bo któż zechce wojować z djabłami, więc jemu tylko musi Bartosz sprzedać, on to wie, dlatego też tak nieuczciwie chce nas ocyganić.

— Więc to Fryc chce od was kupić? — rzekł podróżny, — ale powiedźcież mi dobrzy ludzie, dlaczego on się djabła nie stracha?

— A — rzekł Bartosz — bo on luter, niedowiarek, a sam mi mówił, że djabeł z lutrem żyje w przyjaźni i nigdy mu żadnej psoty nie wyrządza.

— Więc chcecie mu sprzedać?

— Ha, a cóż robić — rzekł Bartosz z wielkim żalem — muszę, chociaż Bóg duszy mojej świadkiem, wolałbym raczej umrzeć, aniżeli porzucać tę rodzinną strzechę.

— Moje gospodarstwo! — zawołała Jagna w rozpaczy, a Jonek milczał, jeno łzę miał w oku.

Po chwili zaś odezwał się Bartosz w te słowa:

— Długo biłem się z myślami, co robić? zrazu miałem nadzieję, że Bóg łaskawy odwróci odemnie to nieszczęście, że

może wynajdę jaki inny sposób, ale to na nic się nie zdało, bo nic mi innego nie pozostało, jak iść w świat, kiędy oczy powiodą.

— Kto wie? – odpowiedział podróżny, który przez cały ciąg tej rozmowy słuchał każde słówko z wielką uwagą — kto wie, może mi Bóg dopomoże, że wam potrafię zaradzić w tej biedzie.

Na te słowa osłupieli wszyscy obecni z radości.

— Czy Bóg z was mówi! — rzekł Bartosz uradowany.

— Co wy mówicie?! — rzekła Jagna odchodząc prawie od zmysłów.

— Ja to mówię, dobrzy ludzie, że za pomocą boską nie będziecie się tułać po świecie, nie postradacie rodzinnej strzechy!

Radość nie do opisania wielka wstąpiła teraz w serca strapione męża, żony i chłopaka, cieszyli się oni nadzieją, którą im uczynił podróżny, ale, że to nie pierwszy już raz robiono im nadzieję, a wszystko dotychczas nie odniosło pożądanego skutku, więc i tą razą kiedy się bliżej zastanowili, mniej ufali słowom podróżnego a Bartosz odezwał się w te słowa:

— Dałby najświętszy Bóg! ale nie wy to pierwsi czynicie nam nadzieję i pospieszacie z radą, radzono już nam dosyć i nikt poradzić nie umiał, ot nawet żona moja kropiła wodą święconą wszystkie kąty, a to nawet nic nie pomaga.

— Święta to prawda — rzekł podróżny — że djabeł boi się święconej wody, ale mnie się widzi, że ten djabeł co waszą nachodzi chatę, nie boi się wcale wody święconej, a zamiast kropidła, lepiej zda mi się, w takim razie przyda się ot ten kostur — i wskazał na swój kij gruby, który w kącie izby stał o ścianę oparty. — Bądź co bądź — mówił on dalej — pozwolicie mi mój dobry gospodarzu spróbować tej nocy moją sztukę, ale musicie mnie słuchać, co wam powiem.

— Dobrze — rzekł Bartosz — dlaczegoż bym nie miał was słuchać, kiedy to o moją skórę idzie; dałby Bóg tylko....

— Otóż — mówił podróżny — zaczynam od tego, żeby żona wasza z chłopakiem udała się na legowisko do stodoły, gdzie teraz zwykle od dni kilka sypiacie, oni nam tu wcale nie

będą potrzebni, tylko owszem zawadzać będą, wy zaś musicie pozostać ze mną.

— Ach, niechże Bóg broni — rzekła Jagna — żeby mój mąż tutaj nocował, jeżeli tracimy już ojcowiznę toć niechcę przytem stracić męża i ostać się wdową na stare lata — i wam szkoda mój wędrowny narażać swoje życie.

— Ja się boję nocować w chacie — odezwał się nieśmiało Bartosz — bo wy nie wiecie...

— No niech ojciec idą spać do stodoły — odrzekł chłopak — a ja zostanę z wami.

— Zawstydził was — rzekł podróżny — wasz własny chłopak, nigdy był bym się nie spodziewał po was, że wy jako Polak tak mało macie w sercu odwagi.

— Bóg mi świadkiem — mówił zarumieniony Bartosz — że niczego w świecie się nie zlęknę, ale co do tego....

— Wstyd! hańba! i djabła i piekła całego Polak lękać się nie powinien, i począł mu długo dogadywać, zanim Bartosz zawstydzony przystał na to i pozostał wraz z podróżnym w chacie, kiedy tymczasem Jagna z chłopakiem wyszła do stodoły.

Co się dalej stało, to już będzie opisane w przyszłym numerku, bo tu jak widzicie, zabrakło miejsca.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Nowe pożary były takie. Dnia 13 października wybuchł ogień w Kołodziejówce w obwodzie tarnopolskim, w domu gospodarza Franciszka K., i zniszczył całe jego gospodarstwo.

Dnia 12 po północy w Liskach w obwodzie żółkiewskim ogień spalił dwa domy włościańskie z całem gospodarstwem. A za dwa dni poźniej w Ostrowie, w tym samym obwodzie zgorzało jedno całusieńkie gospodarstwo.

Znowu jeszcze 1 października w nocy wszczął się pożar w Kobylnicy wołoskiej w Żółkiewskiem, i spalił stodołę arendarza ze zbożem, co wartało 600 reńskich. Zaś 9 października w Daliowej w Sanockiem wybuchł ogień w południe w domu gospodarza Ilka B. i spaliło mu się też wszyściuteńko do kapki, a szkody ma biedaczyna na 800 reńskich. Co najdziwniejsza że wszędzie nie dopytano się jeszcze przyczyny tych pożarów.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**